

*Dziewczyna z pociągu spotyka Utalentowanego  
pana Ripleya pod słońcem Maroka.*

**The Times**

# TAN GE RYN KA

**Christine Mangan**

MARGINESY

*Tangerine*

COPYRIGHT © 2018 BY Christine Mangan

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agnieszka Wilga

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2020

*Dla moich rodziców, którzy zawsze wierzyli, że to możliwe.  
I dla R.K., jak zawsze.*

# PROLOG

## Hiszpania

Trzeba trzech osób, by wyciągnąć ciało z wody.

To mężczyzna, niewiele więcej potrafią stwierdzić. Zdążyły się nim już zająć ptaki — może przyciągnęła je połyskująca srebrna ozdoba jego krawata. Ale to tylko sroki. „Pewnie zobaczył trzy” — sili się na kiepski żart jeden z wylawiaczy (w głowie kołaczę mu się stary wierszyk, wedle którego widok jednej sroki wróży smutek, dwóch — radość, a trzech — pogrzeb). Ciągną ciało, zdumieni jego ciężarem. „Czy po śmierci człowiek waży więcej?” — zastanawia się na głos inny. Razem czekają na przyjazd radiowozu, ze wszystkich sił usiłując nie patrzeć w dół, żeby przypadkiem nie natrafić na puste oczodoły nieboszczyka. Tych trzech wcześniej się nie znało, teraz jednak łączy ich szczególna więź.

Oczywiście tylko początek tej historii jest prawdą, resztę sobie wyobraziłam. Mam teraz czas na takie zajęcia, gdy siedzę w pokoju i gapię się w przestrzeń za oknem. Otoczenie nieco się zmienia, nic więcej. Pewnie można by to nazwać obserwacją, ale moim zdaniem chodzi o coś zupełnie innego — tak jak fantazjowanie różni się od myślenia.

Dzień jest ciepły; niedługo nadejdzie lato. Słońce powoli blednie, a niebo przybrało wyjątkowy odcień żółci, ostrzegający przed nadciągającą burzą. To właśnie w takich chwilach, gdy gęste,



gorące powietrze niemal tchnie grozą, wystarczy, że zamknę oczy, wezmę głęboki wdech i znów czuję zapach Tangeru. Woń pieców garncarskich – czegoś ciepłego, lecz niepalącego, przypominającego cukrową piankę, choć nie aż tak słodkiego. Czuć w niej korzenną nutę, jakby znajomą: cynamon, goździki, może nawet kardamon, ale też coś całkiem nierozpoznawalnego. Zapach jest kojący, niczym wspomnienia z dzieciństwa, przyjemnie człowieka owiewa czy wręcz opatula i łączy obietnicą szczęśliwego zakończenia – zupełnie jak w bajkach. Wszystko to oczywiście oszustwo; owa kojąca obietnica skrywa bowiem brzęczenie much, szmer karaluchów i złe spojrzenia wygłodzonych kotów obserwujących każdy twój ruch.

To miasto przeważnie zdaje mi się wizją z maligny, migotliwym mirażem. Ledwo udaje mi się przekonać samą siebie, że kiedyś należało do mojej rzeczywistości, że naprawdę tam żyłam i na wyciągnięcie ręki miałam te miejsca i tych ludzi, że nie były tylko półprzezroczystymi duchami wykreowanymi przez mój umysł. Przekonałam się, że czas szybko płynie i zamienia ludzi i miejsca najpierw w historię, a potem w opowieści. Z trudem mi przychodzi uchwycenie tej różnicy, bo mój umysł ostatnio często płata figle. W najgorszych – a może najlepszych? – chwilach zapominam o niej i o tym, co się stało. To bardzo szczególne doznanie, bo przecież ona zawsze mi towarzyszy, czai się pod powierzchnią rzeczy, grożąc, że ją przebije. Zdarza się jednak, że jej imię mi umyka. Zaczęłam więc zapisywać je sobie na każdej znalezionej karteczce. Nocą, gdy nie ma przy mnie pielęgniarek, szepczę je sobie, niczym katechizm wyuczony w dzieciństwie, jakby już samo powtarzanie mogło mi pomóc je zapamiętać, nie pozwolić zapomnieć – bo przecież nie wolno mi go zapomnieć, wciąż to sobie powtarzam.

Rozlega się pukanie do drzwi, po czym do pokoju wchodzi młoda rudowłosa dziewczyna. Niesie tacę z jedzeniem. Zwracam

uwagę, że jej ręce są usiane maleńkimi piegami, jest ich tak dużo, że niemal zasłaniają jasną skórę.

Ciekawe, czy kiedyś próbowała je policzyć.

Opuuszczam wzrok i trafiam na leżącą na szafce przy łóżku karteczkę z nabazgranym imieniem, które nie daje mi spokoju, bo choć nie jest moje, wydaje się ważne, jak coś, co powinnam zapamiętać. Pozwalam, aby mój umysł się odprężył. To całkiem skuteczna technika: ze wszystkich sił próbować nie myśleć, a jednocześnie w ukryciu intensywnie rozmyślać.

Nic się nie dzieje.

– Gotowa na śniadanie?

Podnoszę wzrok i zaskakuje mnie widok stojącej przede mną nieznanym dziewczyny o ciemnorudych włosach. Ma nie więcej niż trzydziestkę, więc zapewne dzieli nas ledwie kilka lat różnicy. Rude przynoszą pecha – myślę sobie. Mówi się przecież, żeby przed wyruszeniem w podróż morską unikać rudzielców. A ja pewnie niedługo udam się za morze, do Tangeru. Czuję niepokój; chciałabym, żeby ten rudowłosy zły omen zniknął z mojego pokoju.

– Skąd się pani tu wzięła? – pytam poirytowana tym, że dziewczynie nawet nie chciało się zapukać.

Ona jednak ignoruje moje pytanie.

– Nie mamy dziś apetytu? – W rękę trzyma łyżkę szarej brei. Próbuję sobie przypomnieć jej nazwę, ale umysł nie poddaje się woli. Teraz już jestem wściekła, odsuwam więc łyżkę i wskazuję na kawałek papieru leżący przy moim łóżku.

– Proszę to wyrzucić do kosza – mówię. – Ktoś mi zostawia karteczki, na których są same bzdury.

Opadam znów na łóżko i podciągam kołdrę aż pod brodę.

Jest chyba lato, lecz nagle zdaje mi się, że w pokoju panuje zimowy chłód.

I

Tanger, 1956

Wtorek był dniem targowym.

Nie tylko dla mnie, lecz także dla całego miasta. Jego początek obwieszczały mieszkanki pasma Ar-Rif schodzące z gór w towarzystwie osiołków objuczonych pękatymi koszami i ciągnących wózek pełne owoców i warzyw. Wówczas Tanger ożywał: na ulice wylegały tłumy kobiet i mężczyzn, zarówno miejscowych, jak i obcokrajowców. Wskazywali towary palcami, zamawiali, kłócili się, targowali, wymieniali monety na trochę tego, trochę tamtego. Słońce zdawało się w te dni świecić mocniej, aż paliło mnie w kark.

Stałam przy oknie, patrzyłam na wzbierający tłum i życzyłam sobie w duchu, żeby wciąż był poniedziałek. Wiedziałam jednak, że dawał on jedynie złudną nadzieję, pozorne ukojenie, bo po nim zawsze przychodził wtorek, a ja musiałam konfrontować się z kipiącym wokół mnie chaosem, stojąc naprzeciw niezwykłych kobiet z Ar-Rif, ubranych w jaskrawe kolory przykuwające natychmiast uwagę, krytycznym wzrokiem mierzących moją zwykłą bezbarwną sukienkę, która nie mogła się równać z ich strojami. Targał mną wówczas niepokój – że nieświadomie zapłacę za coś zawrotną sumę, dam nie taką monetę, powiem nie to słowo i w ogóle zrobię z siebie idiotkę, a one wybuchną śmiechem i stanie się jasne, jak wielkim błędem był mój przyjazd tutaj.

Maroko. Już sama nazwa tego kraju przywodziła na myśl rozległą pustynną nicość, do czerwoności rozpalone słońce. Gdy po raz pierwszy padła z ust Johna, zachłysnęłam się szampanem, który wcześniej wcisnął mi w dłoń. Spotkaliśmy się w hotelu Ritz przy Piccadilly Circus w Londynie tylko dlatego, że należała na to ciotka Maude – jej presję odczuwałam od kilku tygodni, odkąd wróciłam z Bennington College, i jak zwykle przyprowadzała mnie o ból głowy, przed którym jakoś nigdy nie udawało mi się uchronić. Dopiero od paru miesięcy mieszkalam znów w Anglii, a Johna znałam jeszcze krócej, ale w tej właśnie chwili byłam przekonana, że czuję jego entuzjazm, energię wypełniającą przestrzeń wokół nas, pulsującą w ciepłym letnim powietrzu. Pochyliłam się w jego stronę, chcąc przechwycić tę ideę, przyjąć ją, choć częściowo uznać za własną. Pozwoliłam, aby zagnieździła się pomiędzy nami. Afryka. Maroko. Kilka tygodni wcześniej stawiałabym opór, tydzień później może już tylko parsknęłabym śmiechem, jednak tego dnia, gdy słuchałam słów Johna, jego obietnic i marzeń, zdawały mi się one aż zbyt realne, niemal na wyciągnięcie ręki. Po raz pierwszy od powrotu ze Stanów naprawdę czegoś pragnęłam – nie wiedziałam dokładnie czego i już wtedy podejrzewałam, że może nie chodzi nawet o męczyznę siedzącego przede mną. Pociągnęłam łyk szampana, który dla mnie zamówił – był już ciepły i pozbawiony bąbelków, poczułam jego kwaskowatość na języku, a potem w brzuchu. Wyciągnęłam rękę, zanim mogłabym zmienić zdanie, i objęłam palcami dłoń Johna.

Bo choć John McAllister na pewno nie stanowił spełnienia moich dawnych marzeń – był głośny i obcesowy, bardzo towarzyski i nieco lekkomyślny – to jednak szansa, którą mi dawał, upajała mnie: mogłam wreszcie zapomnieć, zostawić przeszłość za sobą.

Nie myśleć w każdej sekundzie o tym, co się wydarzyło mroźną zimą w Górach Zielonych w stanie Vermont.

Minął już ponad rok, a tamte zdarzenia wciąż spowijała gęsta mgła; nie mogłam się z niej wydostać, choćbym nie wiem jak długo błądziła po labiryncie wspomnień. „Tak jest lepiej” – mówiła później ciotka, gdy opowiedziałam jej o ich migotliwej postaci, tłumaczyłam, że nie potrafię już wyłowić szczegółów tamtej strasznej nocy oraz dni, które po niej nastąpiły. „Zostaw to za sobą” – nalegała, jakby moje wspomnienia były przedmiotami, które można zapakować do skrzynek i dobrze zabezpieczyć, żeby ukryte w środku sekrety już nigdy nie wydostały się na światło dzienne.

I w pewnym sensie rzeczywiście nie oglądałam się za siebie – kierowałam spojrzenie na Johna, Tanger, piekące słońce Maroka. Nastawiałam się na przygodę, którą mi obiecywały jego oświadczenia i obrączka, choć zamiast prawdziwej ceremonii związała nas jedynie podpisana kartka.

– Ale nie możemy! – protestowałam początkowo. – Przecież prawie się nie znamy!

– Pewnie, że się znamy – zapewniał. – Nasze rodziny są ze sobą niemal spokrewnione. Jeśli już, to raczej znamy się zbyt dobrze. – Zaśmiał się, posyłając mi szelmowski uśmiech.

Postanowiłam nie zmieniać nazwiska, w tej kwestii pozostałam nieugięta. W pewien sposób wydawało mi się ważne, żeby zachować część siebie, mojej rodziny, po tym wszystkim, co się wydarzyło. Ale było jeszcze coś, czego nie umiałam tak łatwo wyjaśnić, nawet samej sobie. Bo choć w chwili mojego zamążpójścia ciotka automatycznie traciła status mojego opiekuna prawnego, wciąż sprawowała pieczę nad moim funduszem powierniczym, do chwili ukończenia przeze mnie dwudziestu jeden lat, kiedy to majątek rodziców w końcu miał przejść w moje ręce. Z kolei myśl o podwójnej tożsamości zbyt mnie przerażała – wolałam więc widzieć w paszporcie swoje nazwisko w niezmienionej formie: Alice Shipley.

Początkowo wmawiałam sobie, że Tanger nie będzie taki zły. Wyobrażałam sobie, jak gramy w tenisa w palącym słońcu Maroka, a cała ekipa służących spełnia wszelkie nasze zachcianki. Należelibyśmy przecież do rozmaitych ekskluzywnych klubów działających w mieście. Wiedziałam, że takiego życia wiele osób mogłoby nam tylko pozazdrościć. Okazało się jednak, że John chce poznać prawdziwe Maroko, prawdziwy Tanger. Choć więc jego współpracownicy zatrudniali tanią miejscową służbę, a ich żony spędzały całe dni, wypoczywając przy basenie lub planując przyjęcia, John nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Wolał szwendać się po mieście ze swoim kumplem Charliem – całe godziny spędzali w łaźni lub na targowiskach, palili kif w mrocznych kątach kawiarni i starali się pozyskać sympatię miejscowych, a nie współpracowników i rodaków. To właśnie Charlie przekonał Johna do przeprowadzki, tak mu zachwalał Maroko jako kraj piękna i bezprawia, aż w końcu Johnowi udzieliła się fascynacja miejscem, w którym nigdy nie był. A ja na początku bardzo się starałam, chodziłam z nim na pchle targi w poszukiwaniu mebli i na bazar po jedzenie na kolację. Siadałam koło niego w kawiarniach i popijałam kawę z mlekiem, usiłując na nowo określić swoją przyszłość w tym gorącym, pylistym mieście, w którym on zakochał się od pierwszego wejrzenia, a które dla mnie wciąż pozostawało nieuchwytnie.

Wówczas jednak doszło do tego zdarzenia na targowisku.

Pośród szaleńczego natłoku straganów i handlarzy, wśród chaotycznych stert antyków i wszelkich rupieci piętrzących się bezładnie nagle odwróciłam się i stwierdziłam, że Johna przy mnie nie ma. Stałam w miejscu, z każdej strony potracali mnie nieznajomi, czułam, jak zaczynają mi się pocić dłonie – dobrze mi znana oznaka narastającego niepokoju – a na skraju mojego pola widzenia zaczynały tańczyć cienie, te dziwne wątle zjawy, które według mamroczących pod nosem lekarzy stanowiły ledwie

„objaw”, lecz które ja postrzegałam jako rzeczywiste i namacalne, przez co zdawały się rosnąć, aż nie widziałam już nic oprócz ich ciemnych kształtów. W tamtej chwili dotarło do mnie nagle, jak daleko jestem od domu, od życia, które kiedyś planowałam.

John później śmiał się i twierdził, że nie było go przy mnie przez całą minutę, ale gdy następnym razem spytał, czy z nim wyjdę, pokręciłam głową, a przy kolejnej próbie znalazłam jakąś wymówkę. Spędzałam za to godziny – długie, samotne, okropnie męczące godziny – odkrywając Tanger z zacisza naszego mieszkania. Po pierwszym tygodniu wiedziałam już, ile trzeba zrobić kroków, żeby dostać się z jednego końca na drugi: czterdzieści pięć, czasem nieco więcej, zależnie od długości kroków.

W końcu zaczęłam odczuwać rozgoryczenie Johna; nasze rozmowy ograniczały się już tylko do spraw praktycznych, takich jak finanse – pensja wypłacana mi z funduszu stanowiła nasze główne źródło utrzymania. John „słabo sobie radził z pieniędzmi”, jak mi kiedyś beztrąsko oznajmił. Uśmiechnęłam się wówczas, sądząc, że one po prostu go nie obchodzą, nie zaprzatają jego uwagi. Jak jednak wkrótce odkryłam, chodziło mu raczej o to, że jego rodzinna fortuna niemal się wyczerpała, zostało z niej tylko tyle, żeby mógł się przyzwoicie ubierać i dzięki temu nadal odgrywać rolę osoby dysponującej wielkim majątkiem, który bezdyskusyjnie mu się od zawsze należał z racji urodzenia. Szybko zdałam sobie sprawę, że to tylko iluzja. Tak więc co tydzień przekazywałam mu swoją wypłatę z funduszu, o którą specjalnie nie dbałam, nie za bardzo mnie ciekawiło, gdzie przepadają te kwoty.

John zaś każdego miesiąca także przepadał w tym tajemniczym mieście, dając tym samym wyraz płomiennej do niego miłości, której nie potrafiłam zrozumieć; odkrywał jego sekrety, podczas gdy ja pozostawałam w mieszkaniu – sama sobie więźniem i strażnikiem.



Zerknęłam na zegar i spochmurniałam. Dopiero co było przecież wpół do dziewiątej, a tymczasem zbliża się już południe. Zakłęłam i rzuciłam się w stronę łóżka i stroju, który sobie przygotowałam wcześniej tego ranka, zanim gdzieś mi przepadły kolejne godziny. Obiecałam bowiem Johnowi, że dziś wyjdę na targ, a sobie samej – że spróbuję. Spojrzałam więc na atrybuty mające nadać mi wygląd zwykłej kobiety załatwiającej cotygodniowe sprawunki: pończochy, buty, sukienka kupiona w Anglii, tuż przed wyjazdem do Tangeru.

Wciągając ją przez głowę, zauważyłam niewielkie rozdarcie z przodu, tam gdzie koronka styka się z kołnierzykiem. Zmarszczyłam brwi i zaczęłam przyglądać się temu miejscu z bliska, próbując opanować drzenie ogarniające mnie na widok uszkodzonego materiału. Mówiłam sobie, że to żaden znak ani zły omen, że to w ogóle nic nie znaczy.

W pokoju zrobiło się zbyt gorąco, wyszłam więc na balkon, bo w tej akurat chwili chciałam się uwolnić od tych potężnych murów. Zamknęłam oczy, rozpaczliwie pragnąc poczuć choć lekki powiew, czekałam, ale nadaremnie – wciąż otaczał mnie tylko nieruchomy, suchy skwar Tangeru.

Minęła minuta, a potem następna. Gdy wsłuchiwałam się w ciszy w swój oddech, nagle odniosłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Otworzyłam oczy i szybko powiodłam wzrokiem po ulicy w dole. Nikogo nie dostrzegłam, jeśli nie liczyć garstki miejscowych zmierzających na targ szybkim krokiem, ponieważ pomału nadchodziła już godzina jego zamknięcia.

– Weź się w garść – szepnęłam do siebie, wycofując się ku bezpiecznej przestrzeni mieszkania. Ale i tak dokładnie zamknęłam za sobą drzwi balkonowe, a serce waliło mi jak młotem. Zerknęłam na zegar – było już wpół do drugiej. Uznałam, że targ może jeszcze zaczekać.

Wiedziałam, że nie ma innego wyjścia. Drżącymi rękami zaciągnęłam zasłony tak starannie, żeby nie przedostał się przez nie nawet najmniejszy promyk słońca.

## 2

### Lucy

W mocno palącym słońcu opierałam się o barierkę. Czułam, że kołysanie pode mną narasta, ścisnęło mnie w żołądku za każdym razem, gdy niemal już nieruchomy prom nagle się jeszcze gwałtownie podrywał, niezgrabnie pokonując ostatnie metry dzielące go od celu podróży: Maroka. Szybko chwyciłam walizkę. Już od kilku miesięcy śniłam o imponujących cudach mauretańskiej architektury, o tajemniczych zakamarkach bazarów tętniących życiem, kolorowych mozaikach i jaskrawo pomalowanych zaułkach. Stałam w kolejce, która zdążyła się utworzyć, i wyciągnęłam szyję, pragnąc wreszcie dostrzec prawdziwą Afrykę. Czułam już jej zapach, nęcący ku jej brzegom i stanowiący obietnicę czegoś o wiele głębszego i bogatszego niż wszystko, czego mogłam doświadczyć na zimnych ulicach Nowego Jorku.

No i Alice, która też gdzieś tu była, pośród pulsującego żywiołu tego miasta.

Schodząc z promu, szukałam w tłumie jej twarzy. W ciągu tych kilku godzin spędzonych między jednym brzegiem a drugim zdołałam przekonać samą siebie, że może wyjdzie mi na powitanie, mimo tego, co się wydarzyło. Nikt jednak na mnie nie czekał. Ani jednej znajomej twarzy, tylko dziesiątki miejscowych – młodych

chłopaków i starszych mężczyzn, z których każdy usiłował przekonać mnie lub kogokolwiek z pozostałych turystów schodzących z promu do zakupu takiej czy innej usługi. „Nie jestem przewodnikiem, tylko miejscowym, każdy mnie tu zna. Zabiorę panią w miejsca, o których inni przewodnicy nawet nie słyszeli”. Gdy to nie działało, szły w ruch towary: „Torebeczka dla pani?”. „A może pasek dla pana?” – to do mężczyzny idącego za mną. Odślaniano poły płaszczy i pokazywano inne dobra, które każdy Bogu ducha winny przyjezdny musiał zobaczyć. Biżuteria, drewniane rzeźbione drobiazgi, dziwne, egzotycznie wyglądające instrumenty muzyczne. Tak jak pozostali podróżni machałam tylko ze zniecierpliwieniem ręką, żeby zabrano mi sprzed oczu te cuda.

Nie było wówczas wielu przewodników książkowych po Tangerze, ale zdobyłam wszystkie pozycje literackie, jakie mogłam namierzyć, a potem czytałam wers za wersem o mieście, które wkrótce miałam nazwać swoim domem, choćby tymczasowym. Przeczytałam teksty Edith Wharton i Marka Twaina, raz nawet w rozpaczę sięgnęłam po kilka stron Hansa Christiana Andersena. O dziwo, to właśnie on najlepiej mnie przygotował na tę wielką falę twarzy zalewającą nowo przybyłych niczym szarańcza, na ten napór ochoczych przewodników oferujących swoje natychmiastowe usługi naiwnym i niedoświadczonym turystom. Ja zaś, choć niedoświadczona, na pewno nie należałam do naiwnych. Czułam się więc gotowa, należycie poinformowana, uzbrojona w słowa i lektury mające mnie ochronić przed chaosem. Wiedziałam dokładnie, w co się zanurzę po opuszczeniu bezpiecznego i względnie cichego pokładu. A jednak okazało się, że na to, co mnie tam spotkało, nic nie mogło mnie przygotować. Słowa Wharton, Twaina czy nawet Andersena nie sprawdzały się w roli mieczy i tarcz.

Staralam się jakoś unikać naganiaczy, mocno trzymałam mapę, jakby stanowiła dowód mojej determinacji. Przeczący ruch głowy, ciche rzucanie francuskiego *non, merci*, a potem hiszpańskiego *no, gracias*, aż w końcu desperackie odwoływanie się do tych drobin arabskiego, które zdołałam przed podróżą przyswoić: *la, szukran*. Nic nie pomagało. Przeciskałam się dalej, z determinacją prąc ku wyjściu z portu, w stronę medyny. Większość naganiaczy dała sobie spokój, ale kilku nie rezygnowało i szło za mną od wybrzeża aż na biegnącą w górę ścieżkę prowadzącą na stare miasto. „Zgubiła się pani? Może pomóc?” W końcu został już tylko jeden mężczyzna, który nie chciał mnie zostawić w spokoju. Na początku nie zwracał na siebie uwagi, tylko podążał za mną po mału, spokojnym krokiem, w moim tempie. Mówił po angielsku lepiej od pozostałych i wkrótce zaczął z tego korzystać; nawijał o najróżniejszych miejscach, w które mnie zabierze – oczywiście niedostępnych innym turystom.

Próbowałam nie zwracać na niego uwagi, nic sobie nie robić z potwornego skwaru, przez który moje policzki płonęły, odwracać wzrok od rojów much zdających się czaić w każdym zakamarku miasta, w którego kręty labirynt właśnie wkraczałam. Nagle jednak, po kilku minutach, mężczyzna zaszedł mi drogę i uniemożliwił dalszy marsz, zatrzymałam się więc, zdezorientowana, mocno trzymając w dłoni walizkę. Chciałam go jakoś wyminąć, on jednak stał niewzruszony naprzeciwko mnie.

– Tak – powiedział z uśmiechem. – Jestem jak komar, wiem. – Nachylił się ku mnie, aż poczułam na twarzy jego gorący, wilgotny oddech. – Niech pani posłucha. Lepiej mieć ze sobą takiego jednego komara, wie pani dlaczego? – Zawiesił głos, jakby czekał na odpowiedź. – Jeden komar potrafi sprawić, że inne będą się od pani trzymały z daleka.

Uśmiechnął się, a potem odchylił głowę i zarechotał, a ten niespodziewany przenikliwy dźwięk odbił się echem od otaczających nas już teraz murów. Bezwiednie podskoczyłam przestraszona, po czym potknęłam się i upadłam, waląc kolanem w twardą pylistą drogę. Walizka wylądowała obok z głuchym hukiem.

Krzyknęłam, a potem przesunęłam się nieco, żeby ocenić straty, a zarazem oddalić się od wyciągniętej ręki komara. Moje nowe kawowe pończochy – za które zapłaciłam całe półtora dolara, ponieważ sprzedawczyni zapewniała mnie, że są najlepsze ze wszystkich – były do wyrzucenia. Zaraz nad kolanem powstała w nich dziura, szły od niej w dół kolejne oczka. Zauważyłam też z rosnącą konsternacją, że mam na nodze paskudne otarcia, które w każdej chwili może zacząć krwawić.

– Co za cholerny pech... – mruknęłam pod nosem.

Komar, jakby wyczuwał mój dyskomfort i skrzępowanie, przysunął się jeszcze bliżej.

– Wygląda pani na zagubioną – szepnął głosem, który nagle stał się niższy i bardziej nagły, jak gdyby nowo zdobyta przeze mnie pozycja wymagała tego rodzaju błazenady. – Czy wie pani, czego dokładnie szuka?

Usłyszawszy te słowa, zastanawiałam się przez chwilę – ale tylko przez chwilę – co ja właściwie robię w tym dziwnym obcym kraju, o którym marzyłam tak często, że jego obraz zaczął przybierać połyskliwą, nierzeczywistą postać za każdym razem, gdy go przywoływałam, przez co nawet teraz, gdy już z pełnym impetem zderzyłam się z twardym faktem jego istnienia, wciąż nie wydawał mi się realny. Oddech ugrzązł mi w gardle – lecz zaraz potem stanęła mi przed oczami ona, widziana jakby przez mgłę.

To wystarczyło, żebym znów była sobą.

– Tak – odparłam ostrym tonem pełnym determinacji i poczucia celu. Wstałam i bezceremonialnie przepchnęłam się, za-

haczając o niego ramieniem, żeby poczuł siłę uderzenia, ciężar naporu mojego ciała. Dostrzegłam zszokowany wyraz jego twarzy. — Tak, dobrze wiem, czego szukam.

Komar wzruszył tylko ramionami i zaczął się wreszcie oddalać.

## Alice spodziewałaby się spotkać w Maroku każdego, tylko nie Lucy.

Po owianym tajemnicą wypadku na amerykańskiej uczelni te dwie przyjaciółki – dawniej nierozłączne – przez ponad rok nie utrzymywały kontaktów. Skąd Lucy się tu wzięła? Dlaczego chce odnowić znajomość i powrócić do dawnych rytuałów przyjaźni? A może Alice powinna się cieszyć? Nie odnalazła się przecież w Tangerze, zbyt się bała zanurzyć w tętniącą życiem medynę oraz nieznośny skwar.

Wkrótce jednak do Alice powraca znajome wrażenie – czuje się manipulowana i łamszona. Gdy jej mąż przepada bez wieści, Alice zaczyna podawać w wątpliwość wszystko: nie tylko istnienie niepokojącej przyjaciółki, ale i stan swojego umysłu.

*Tangerynka* to opowieść przeszywająca niczym sztylet – urokliwy, kunsztownie skonstruowany debiut literacki pełen egzotycznych obrazów i sugestywnych szczegółów, wprost zapiera dech w piersiach.

**Prawa do ekranizacji należą do George'a  
Clooneya i jego firmy Smokehouse Pictures, w roli  
głównej ma wystąpić Scarlett Johansson.**

www.morginesy.com.pl



9 788366 140172

cena 39,90 zł

PATRICKA MEDALEY



POCISK



CZYTAMY  
KRYMINALY.PL

w sprzedaży także



lubimyczytać.pl

PORTAL  
KRYM...NALNY